

Ewa Muńko

AUTOCHTONI NA BABIMOJSZCZYŹNIE

Ziemia Babimojska po II rozbiórze Polski w 1793 r. dostała się w granice państwa pruskiego – późniejszych Niemiec. Historie obywateli niemieckich mających polskie korzenie są bardzo skomplikowane, ale jednocześnie niezwykle ciekawe. Nikt, kto nie przeżył II wojny światowej nie potrafi do końca zrozumieć kim byli ludzie określani mianem „autochtonów”. Ludzie, którzy przez cały okres przynależności do państwa niemieckiego, czyli na naszych terenach przez 152 lata, starali się walczyć z polityką germanizacji, bronić swojej narodowości, kultury i obyczajów, a przede wszystkim języka polskiego. Ludzie, którzy przez Rosjan wkraczających w 1945 r. i „wyzwalających” nasze ziemie oraz przez część Polaków po wojnie (szczególnie przez władze) traktowani byli jako Niemcy. Przykładem może być tragiczna sytuacja 126 mieszkańców Babimostu (zwłaszcza kobiet, dzieci i starszych) pochowanych na miejscowym cmentarzu, którzy zginęli z rąk rosyjskich „wyzwolicielei”.

Historia wielu rodzin mieszkających na Ziemi Babimojskiej, to historia walki o polskość; przynależności do różnych polskich organizacji i stowarzyszeń, zachowywania tradycji i zwyczajów przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Niemal każda polska rodzina mieszkająca na terenie Babimojszczyzny może opowiedzieć, czym były obozy, niemieckie więzienia, czy roboty przymusowe. Nierzadko zdarzało się, iż jeden członek rodziny zostawał wcielony do armii niemieckiej, a drugi w tym samym czasie trafiał do obozu w Sachsenhausen czy Ravensbrück za działalność skierowaną przeciw Niemcom. Po 1929 r., kiedy zaczęły powstawać szkoły dla tzw. mniejszości polskiej wydawało się, że sytuacja Polaków zmieniła się na lepsze. Były to tylko pozory, gdyż dla szkoły polskiej bardzo trudno było znaleźć lokal. Generalnie lokalizowano je w wydzierzawionych przez mieszkańców izbach. Nie możemy zapominać o tym, iż czasem z jednej rodziny córki szły do szkoły polskiej, a synowie do niemieckiej. Było to związane z sytuacją ekonomiczną, dzieci rolników i rzemieślników trafiały do szkoły polskiej, natomiast robotnicze często do szkoły niemieckiej. Wypisując dzieci z polskiej szkoły i przepisując do szkoły niemieckiej ojcowie podawali różne powody swoich decyzji. Przykłady takich właśnie postaw zostały zapisane m.in. w kronice szkoły polskiej w Nowym Kramsku. Niektórzy rodzice decydowali się przepisać swoich synów do szkoły niemieckiej, by nie stracić pracy. Innym powodem był problem z przyjęciem na praktykę ucznia, który ukończył polską szkołę. Wszystko miało więc cel ekonomiczny. Czy były to słuszne decyzje? Trudno szczególnie nam żyjącym współcześnie, oceniać jednoznacznie motywy takich właśnie decyzji podejmowanych przez naszych dziadków i pradiadków. „Autochtoni” zmuszeni byli bowiem dokonywać trudnych wyborów dla dobra swojej rodziny. Sami Niemcy dość ostrożnie oceniali takich ludzi, gdyż zdawali sobie sprawę, że mimo wszystko skłaniają się oni ku polskości. Niemcy starali się jak najdokładniej wykorzystać wszystko co polskie przez zmianę imion, nazwisk oraz nazw miejscowości. Jednak nazwy niemieckie, które zostały wprowadzone przed wojną, tak naprawdę nigdy nie były używane przez mieszkańców. Ludność polska używała zawsze tradycyjnych, polskich. Bez wspomnień tych, którzy to przeżyli nie da się wytłumaczyć szczególnego położenia naszych przodków. Ale nie można też zapominać o jednej rzeczy – nie każdy Polak był bohaterem, a nie każdy Niemiec wrogiem. Jak w każdym narodzie zawsze znajdują się ludzie, którzy dla własnego zysku i korzyści gotowi są pójść na współpracę. Historia rodzin zamieszkujących Ziemię Babimojską jest bardziej złożona niż mogłoby się wydawać.

Nazwa *autochton* wywodzi się z języka greckiego i oznacza rdzennych mieszkańców jakiegoś kraju, w odróżnieniu od ludności późniejszej, napływowej. W polskiej literaturze historycznej termin stał się popularny w okresie II wojny światowej i następnie po jej zakończeniu. Autochtonami nazywano ludność taką, jak mieszkańcy naszych terenów. Byli to Polacy, którzy do końca wojny

mieszkali w granicach Rzeszy Niemieckiej, mieli obywatelstwo niemieckie, a powrócili do Polski jako mieszkańcy Ziem Odzyskanych. Podobna sytuacja jak na Babimojszczyźnie była m.in. na Warmii i Mazurach. Samo określenie „autochton” nie miało być określeniem negatywnym, jednak wielokrotnie wynikały z niego nieporozumienia. W rozumieniu wielu, autochton wprawdzie nie był Niemcem, ale też nie do końca był Polakiem. Po wojnie autochtoni przechodzili weryfikację i musieli udowodnić, że są Polakami, a obywatelami niemieckimi byli, ale nie z własnego wyboru.

Ustalenie liczby mieszkańców narodowości polskiej, którzy mieszkali w granicach niemieckich jest trudne. Statystyki niemieckie zaniżały te liczby, by pokazać że niemiecka polityka germanizacyjna daje rezultaty. Wiele informacji dostarczają tajne dokumenty niemieckie odnalezione w 1945 r. w Babimoście. Dzięki tajnemu memoriałowi znamy liczbę Polaków zamieszkujących Babimojszczyznę w 1938 r. Zestawienie to wyraźnie pokazuje, że samo miasto było zamieszkałe w 1/3 przez ludność polską, natomiast wioski były niemalże całkowicie polskie. Zamieszkiwało je ok. 90% Polaków.

Ludność polska na terenie Babimojszczyzny w 1938 r.

Miejscowość	Ogólna liczba mieszkańców	Ludność polska	Stosunek ludności polskiej do ludności niemieckiej
Kramsko Nowe	1254	1134	90,4%
Kramsko Stare	336	304	90,5%
Podmokle Wielkie	368	329	89,4%
Podmokle Małe	468	416	88,9%
Babimost	1807	630	34,9%
RAZEM:	4233	2813	66,5%

Sposobem walki o polskość było zakładanie różnych stowarzyszeń gospodarczych i kulturalnych, organizowanie strajków szkolnych, zachowywanie starych tradycji i obyczajów oraz czytanie polskich czasopism. Wiesław Sauter w swojej książce „Z walk o polskość Babimojszczyzny” napisał, że w Nowym Kramsku Polacy prenumerowali 177 egzemplarzy,



Ks. Stanisław Dudziński
przebrany za kupca
ucieką z Nowego
Kramska – 1920 r.



Ks. Stefan Łukowski
– propagator czyteln
ludowych.

zwłaszcza „Przewodnika Katolickiego”. Z kolei Niemcy prenumerowali tylko 6 gazet. W większych miejscowościach regionu babimojskiego powstawały biblioteki Towarzystwa Czytelni Ludowych (TCzL). Szczególnie zaangażowaną postacią w działalność TCzL był wikariusz parafii babimojskiej w latach 1913- 1919, ks. Stefan Łukowski. Dzięki jego staraniom w Babimostcie powstały nowe biblioteki, sprowadzono nowe książki, a sam wikary wygłaszał odczyty na tematy historyczne, społeczne i religijne. Założył Towarzystwo Młodzieży. Potrafił też przekonać do współpracy mieszkańców Babimostu i okolicznych wiosek. Poza działalnością ks. Łukowskiego w Babimostcie podobną aktywnością

społeczną wyróżniał się ks. Stanisław Dudziński w Nowym Kramsku, dzięki któremu powstało m.in. Kółko Rolnicze, Bank Ludowy. Był również zaangażowany podczas działań powstańczych w 1919 r.

Klęska Niemiec w I wojnie światowej stała się nadzieją na powrót do Polski. Przyczynić się miało do tego Powstanie Wielkopolskie, w którym nasi dziadkowie i pradiadkowie wzięli aktywny udział. Jednak politycy decydujący o kształcie Europy uznali, że ten skrawek ziemi tak silnie walczący o powrót do państwa polskiego pozostanie w granicach Rzeszy. Nie pomogły delegacje

i petycje słane w tej sprawie do Wersalu i Spa w Belgii. Babimojszczyzna pozostała na terenie Niemiec i musiała czekać kolejnych 26 lat na powrót do Polski. Do dziś m.in. w Babimoście, czy w Nowym Kramsku można znaleźć groby i obeliski, na których zapisano nazwiska poległych powstańców.

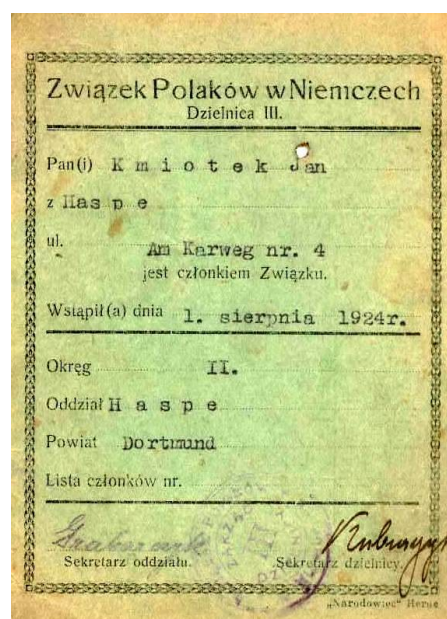
Udział ludności w Związku Polaków w Niemczech (1938 r.)

Miejscowość	Liczba ludności polskiej	Liczba członków Związku Polaków w Niemczech
Nowe Kramsko	1134	110
Stare Kramsko	304	20
Podmokle Wielkie	329	80
Podmokle Małe	416	

Każda wioska na naszym terenie miała swoich przywódców, ludzi którzy swoim szczególnym zaangażowaniem dawali wzór patriotycznej postawy. Zakładali oni i stali na czele wielu organizacji i stowarzyszeń. Najaktywniejsi z nich byli nazywani przez Niemców „Polenkönig”. Takimi przywódcami byli m.in. Jan Cichy czy Teodor Spiralski. Polskie organizacje istniały aż do wybuchu II



Karta uczestnika Kongresu Polaków w Niemczech, mieszkańca Pomokli Małych - Czesława Wołka. Obok: Legitymacja członkowska ZPwN Jana Kmiołka, mieszkańca Podmokli Małych pracującego w miejscowości Haspe.



wojny. O organizacjach tych i liczbie ich członków wspomina wymieniony wcześniej tajny memoriał z 1945 r. Były to m.in.: Związek Polaków w Niemczech (ZPwN), Polski Związek Towarzystw Szkolnych, Związek Młodzieży Polskiej, Polski Katolicki Związek Młodzieży, kluby sportowe, Bank Ludowy, chóry, Kółko Rolnicze i drużyny harcerskie. Wspólnym celem wszystkich tych organizacji było kultywowanie języka polskiego i polskich obyczajów.

Największą i najbardziej wpływową organizacją był powstały w 1922 r. Związek Polaków w Niemczech. Oddziały Związku powstały wkrótce na terenach Babimojszczyzny. W 1927 r. do Związku należało 210 członków z Nowego Kramska, 60 ze Starego Kramska, 74 z Małych Podmokli oraz 60 z Wielkich Podmokli. W późniejszych latach niestety liczba członków Związku uległa zmniejszeniu. Przyczyną takiego stanu rzeczy były prawdopodobnie represje wobec Polaków, którzy czynnie uczestniczyli w życiu społecznym. Nie oznaczało to jednak, że walka o utrzymanie polskości została zakończona.

Dzięki staraniom wielu działaczy ZPwN, a następnie Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w 1929 r. zaczęły powstawać polskie szkoły. Były to szkoły w Starym i Nowym Kramsku, Podmoklach Małych i Wielkich oraz w Babimoście. Poza szkołą w Babimostcie wszystkie przetrwały do 1939 r. Związek Polskich Towarzystw szkolnych sprowadzał nauczycieli z Polski, tak by dzieci były nauczane przez Polaków.

Liczba uczniów w szkołach na Pograniczu

Rok szkolny	Małe Podmokle		Stare Kramsko		Wielkie Podmokle		Nowe Kramsko	
	pol.	niem.	pol.	niem.	pol.	niem.	pol.	niem.
1929/30	70	3	34	33	23	x	75	x
1930/31	72	6	34	31	27	13	91	59
1931/32	72	26	28	39	28	14	102	52
1932/33	68	8	33	37	31	15	108	62
1933/34	61	9	14	56	29	15	108	72
1934/35	57	41	16	55	21	20	105	81
1935/36	49	40	17	55	30	14	103	72
1936/37	43	44	12	48	29	23	103	78
1937/38	33	44	11	52	29	18	110	73
1938/39	36	x	15	49	30	x	108	74
1939/40	4	x	18	x	x	x	48	x

Najaktywniejsi mieszkańcy Babimojszczyzny zostali aresztowani w pierwszych dniach wojny. Część z nich zamordowano jeszcze w 1939 r., część zginęła w obozach koncentracyjnych, nieliczni wytrzymali piekło obozów, ale wspomnienia tego co tam przeżyli pozostały w nich na zawsze.

Po rozpoczęciu przez Niemców akcji wysiedleńczej z rejonu Babimojszczyzny zostało wysiedlonych wiele rodzin. Ich domy, gospodarstwa zostały przejęte przez Niemców, a wysiedleńcy trafiali do pracy przymusowej w różnych częściach Niemiec. Po wyzwoleniu wracali do swoich zniszczonych, zdewastowanych i ograbionych domów. Część rodzin uciekła w obawie przed zbliżającymi się Rosjanami. Ci, którzy pozostali starali się pokazać, że są Polakami i nie narazić na represje ze strony Rosjan. Było to jednak trudne i cierpienia, których od nich doznali nie były wcale mniejsze niż te wyrządzone przez Niemców. Tym bardziej, że Rosjanie przybywali okryci złą sławą.

Po wojnie mieszkańcy Ziemi Babimojskiej aktywnie włączyli się w odbudowę państwa polskiego. Najlepiej jednak klimat tamtych trudnych czasów oddają wspomnienia ludzi, dla których takie życie było zwyczajne. Ze wspomnień tych możemy się dowiedzieć, jak wyglądała codzienność, zwyczaje, tradycje ale też walka o polskość. Wspomnienia te są bardzo subiektywne, ale i bardzo cenne, gdyż niedługo będą już tylko historią.

Bibliografia:

- Benyskiewicz J., Babimojszczyzna 1919-1945, Zielona Góra 1994.
 Benyskiewicz J., Nowe Kramsko – studium polityczno – gospodarcze, Zielona Góra 1976.
 Benyskiewicz J., Kuc M., Dzieje Babimostu, Babimost 1997.
 red. Benyskiewicz J., Południowe Pogranicze. Słownik historyczny, Zielona Góra 1983.
 Sauter W., Z walk o polskość Babimojszczyzny, Poznań 1960.
 red. Szczegół H., Spod znaku Rodła, Zielona Góra 1974.
 Rocznik Lubuski, t. IV, Zielona Góra 1966.
 praca magisterska – Cyl Marcin, Ludność autochtoniczna na Babimojszczyźnie 1918-1956
 napisana pod kierunkiem prof. dr hab. H. Szczegóły, Zielona Góra 2003.

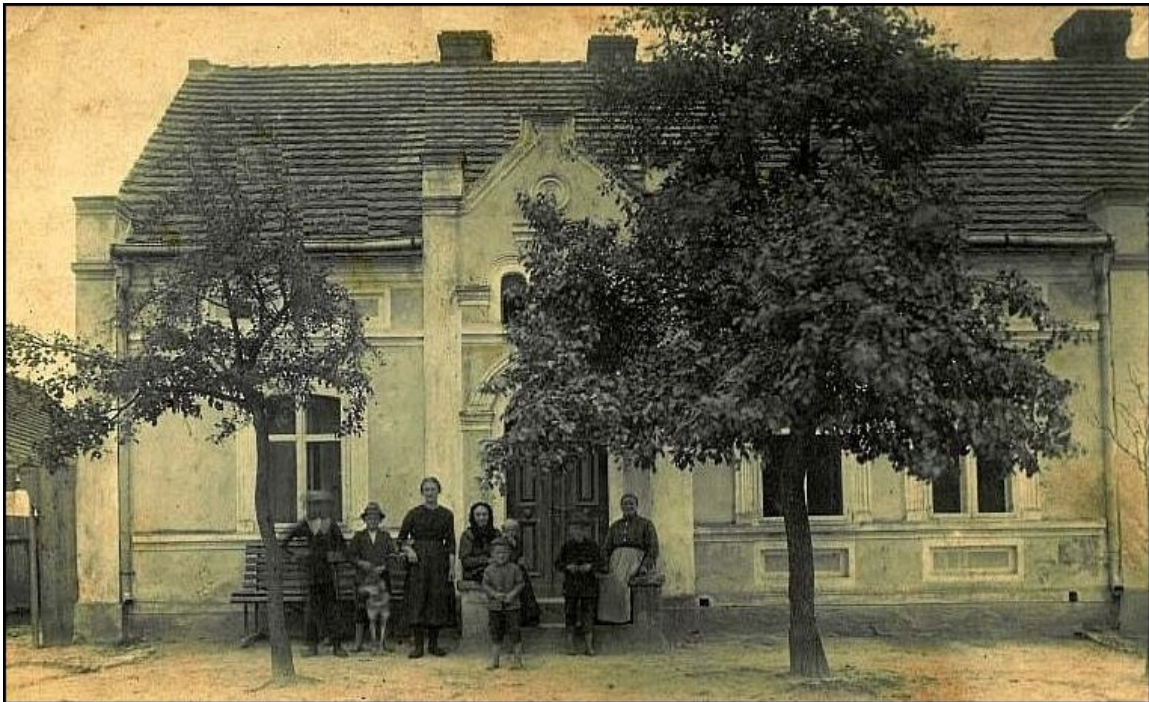
Irena Spiralska z domu Brzezińska

Nowe Kramsko

Urodziłam się w 1921 roku w Nowym Kramsku, w domu naprzeciw plebanii. Przeżyłam w nim niemal 90 lat, ciężko pracując, dbając o dom i dzieci. Z perspektywy mojego długiego życia widzę, jak zmieniał się Kramsko i jego mieszkańcy. Kiedy byłam dzieckiem, ludzie żyli bardzo skromnie i oszczędnie. Szczególnie w rodzinach nie posiadających własnej ziemi.

Chodziłam do szkoły polskiej w Nowym Kramsku. Na co dzień nosiliśmy drewniaki, bo skórzane buty były nieosiągalnym luksusem. Podobnie ubrania – kupowało się je raz na kilka lat, służyły kolejnym dzieciom w rodzinie. Kiedy wracałam do domu po lekcjach, mama dawała mi upieczony na płycie pieca węglowego placek z osypki zmieszanej z wodą. Przysmakiem był chleb skropiony wodą i posypany cukrem.

Najmilszym wspomnieniem z czasów szkolnych była wycieczka do znajdującej się również w granicach Niemiec Dąbrowki. Jechaliśmy tam wozem konnym, siedząc na drągu przywiązany do burt. Wieś ta zamieszkała była również w większości przez Polaków i działała tam polska szkoła. Razem z rówieśnikami spędziliśmy dzień na wspólnych zabawach i posiłku.



Rodzina Cichych, spokrewniona z autorką wspomnień, przed domem w Nowym Kramsku.
Początek XX w.

Kobiety musiały same radzić sobie z domem i dziećmi. Mężowie pracowali przez większość roku z dala od domu – latem w cegielni w podberlińskim Zehdenick, a zimą w berlińskiej cukrowni. Moja matka przez całe lato zbierała w lesie grzyby na sprzedaż. Często miesięczny zarobek z codziennego grzybobrania był większy niż pensja ojca. Życie przed wojną było od rana do wieczora wypełnione pracą. Uważam, że było nieporównywalnie trudniejsze niż obecnie.

Jedną z nielicznych rozrywek były „piórnice”, czyli spotkania gospodyń przy „darciu pierza”. Z każdego piórka trzeba było oderwać twardy „pipeć”. Przy tej okazji wiele było śpiewów, plotek, opowieści z dawnych czasów i historii które mroziły krew w żyłach. Najbardziej przerażała nas pogłoska o „świecarach”. Te błędne ogniki, jak opowiadano, zwodziły w ciemnościach ludzi na bagna, skąd już nie wracali. Po takim wieczorze strach było iść do domu. Z barwnych opowieści snutych naszą, kramską, gwarą słyszała Trudzia Stachecka. Czasami chłopcy dla żartu, do drących

pierze kobiet, wpuszczali wróbla albo gołębia. Spłoszony ptak fruwał wzbijając w powietrze chmury puchu. Było przy tym dużo krzyku i śmiechu.

Miałam 13 lat, kiedy skończyłam szkołę. Ojciec kupił mi rower i codziennie ze starszymi kobietami jeździłam pracować do majątku w Brudzewku. Potem zatrudniłyśmy się z koleżankami - Jadwigą Mikołajczyk i Franią Sarbak - w cegielni. Mieszkałyśmy w budynku dla robotników. Przez cały dzień woziłyśmy taczkami cegły do szopy. Była to bardzo ciężka praca. Tam poznałam mojego męża, Michała, który pochodził ze Śląska. Wkrótce pobraliśmy się i urodziłam syna. Niestety, męża powołano do niemieckiego wojska, podobnie jak wszystkich mężczyzn w wieku poborowym, z naszej miejscowości. Nie mieli wyjścia, bo za dezercję ukarana byłaby rodzina. Po czterech latach otrzymałam wiadomość, że mąż zginął pod Witebskiem. Zostałam sama z małym dzieckiem. Na szczęście mogłam liczyć na pomoc rodziców i licznej rodziny.

Podczas wojny jedzenie reglamentowano. Wszystko w sklepach sprzedawano „na kartki”, a przydziały były małe. Postanowiłyśmy z moją bratanicą, Gertrudą Cichą, pojechać po cukier do Berlina. Tam w cukrowni pracowali mój ojciec i brat. Kiedy obładowane tobołkami wracałyśmy na dworzec kolejowy, rozpętało się piekło. Nad Berlin nadleciały alianckie samoloty. Udało nam się ukryć w bramie kamienicy. Po bombardowaniu dotarłyśmy na pociąg, który zawiózł nas bezpiecznie do Kolesina. Nawet tu, w Nowym Kramsku, słyhać było w 1944 i 45 roku odgłosy bombardowań Berlina!

Wreszcie nadszedł koniec wojny. Na wieść o nadchodzących „Rusokach” schowaliśmy się w piwnicy. Nie wiedzieliśmy jak nas potraktują – w końcu byliśmy jedną z pierwszych miejscowości na terenie Niemiec. Nadjeżdżające czołgi powitała delegacja mieszkańców z białą-czerwoną flagą, mając nadzieję na bezkrwawe przejście czerwonoarmistów. Oni rozdawali dzieciom cukierki zabrane z kargowskiej fabryki słodczy. Zatrzymali się na kilka dni w naszej wsi. Wysiedlili wszystkich mieszkańców głównej ulicy do innych gospodarstw, a sami rozgościli się w naszych domach. Przy okazji ogołocili je z cenniejszych rzeczy. Prości żołnierze dziwili się lecącej z kranów wodzie. Wykręcali więc kurki ze ścian mówiąc, że je sobie przykręcą w swoich domach. Na szczęście przewidujący kramszczone pochowali już wcześniej najcenniejsze przedmioty. Dzięki temu do dziś ozdobą domów są pamiątkowe zegary i porcelanowe serwisy, które przejście frontu przeczekwały w kopcach z ziemniakami lub studniach.

Po wojnie majątek ziemski został rozparcelowany. Również nasza rodzina otrzymała swój kawałek gruntu. Po wielu latach ponownie wyszłam za mąż, urodziłam córki, które są dla mnie podporą po dziś dzień.

Zwyczaj pieczenia chleba w Nowym Kramsku

Dawniej pjękli sumi chlyb. Mało kto szedł chlyb kupić do piekarza, bo sóm upieczuny ból lepszy i tańszy. Baby się zmawiały zawsze trzy albo styry piekły co dwie niedziele. Każda z tyj spółki brała trzy chlyby, a potym sóma piekła i loddawała. Pieczynie to była mała ceremonia. Bo potrzeba dojsz rzeczy, żeby upjycz dobry chlyb. Trzeba mieć przede wszystkim piec chlebnny. Najprzód ból przyniesiony pipciak (poduszka z pipci). Na pipciak kładło się trzy cegły ugrzóno na framudze. Po tym się robiło kwas w dzyży. Mąka żytnia stojąca już dwa dni w kuchni, żeby się wygrzała. Na drugi dzień robiło się ciasto i kulało się bochynki takie wielgie, że dzieci nie mogły ich objuńć. Ważyły chyba z 6 albo 8 funtów. Do dzieci należało przyniś klófty (drewno), węborek (wiadro) z wodó i pomiotło. Łogiń w pjycu robjuł gospodarz, bo piec musiul być dobrze napaluny. Podniebienie musiało byś białe. To wtedy ból tyz dobry chlyb. Po tym ból piec rozgarniunt y z rozgarniaczem. Wymieciuny na mokro z pomiotłym. Po tym przyszły bochynki na śipo (łopatę) i rajn do pieca. Chlyb pjękli bez młodzi (drożdży), bo kwas, jak ból dobrze zrobiony, to chlyb się sóm ruchól.

**Zapis opowieści Gertrudy Stacheckiej
(1931-2011)**



Wesele w Nowym Kramsku - 1935 rok. Pan młody - Józef Zmuda, panna młoda - Genowefa Dimke.
Autorka wspomnień - czternastoletnia Irenka, która podawała do stołu, druga od prawej w górnym rzędzie.

Tradycyjny ślub w Nowym Kramsku

Przygotowania rozpoczynały się parę dni przed zapowiedziami. Najpierw pieczono kołacze na bąblach (okruchach) i to dużą ilość, bo każdy, który był proszony na wesele, ale też wszyscy znajomi i sąsiedzi dostali blaszke kołacza. Taki ból poczuntek. Dzień przed weselem ból „pulter”. Zbierała się młodzież i starsi. Przynosili stare „flaśki”, różne rupcie i tym trzaskali. Tyn obyczaj dotrwał do dzisiaj. Kiedy za mąż wychodziła dziewczyna „latawica” żli ludzie drogu z domu do kościoła wyścielili gałązkami jałowca i pierzem. Była to ujmą dla takiej dziewczyny, no i dla jej rodziców.

Wesela odbywały się przed południem. Nigdy w sobotę i niedzielę. Weselników goszczono w swoim domu. Drużbowie mieli założone sztywne, różowe wstążki, zawiązane na ramieniu. Pierwszy drużba miał na prawy rękę, a reszta na lewy. Kiedy moja praprabusia brała ślub, to brała go na wiórki. To znaczy, że nie było obrunczek złotych tylko upleciune z merty. Prabusia brała już na pierściunki.

Dawni na weselach podawano na stół ryż pod rosół, jagły na gósto, kwaśne śledzie, kulocho (placek). Było też mięso, smażona karmunada (schab) i kiszona kapusta do tego. Ale młósa nie było dojsz. Kompot był ze świentyjónek (porzeczki), kosmatków (agrestu). W zimie ból z suszonych owoców i z korbasa (dyni). Do tańca przygrywał koziół, skrzypce i bymbyn. Tańczowali do północy. Wtedy bóły „łoczepiny”. Zdymowali winiec z głowy i śpijwali: „Wczoraj byłaś młodą panną, a dziś jesteś starą babą...”. Bawili się do rana. Kiedy świtało całe wesele szło przez wjeź z orkiestrą. Kto stół przed domem dostał od młodych kółca i gorzałki. Wesele mojej prabusi trwało trzy dni.

Pani młoda była ubrana w kolorową suknię ze stójką pod szyję. Bez żadnych dekoltoń. Na ramionach miała turecką chustę – podarunek od rodziców. Kiedy się zdarzyło, że panna młoda oczekuje już dziecka, to szła do ślubu w czarny sukni. Ślubu udzielano przy bocznym ołtarzu. Uważali, że nie jest godna przystąpić do głównego ołtarza. Niejedna cały ślub przeplakała. Nie było do pojęcia, żeby para żyła razem bez ślubu.

Zapis opowieści Gertrudy Stacheckiej

Maria Rychła z domu Konopnicka

Podmokle Wielkie – Babimost

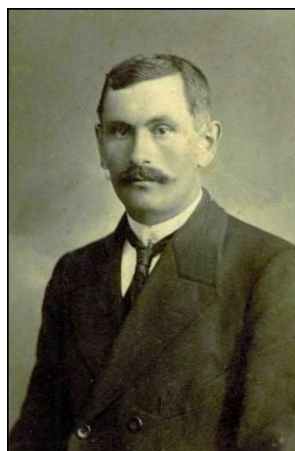
Urodziłam się w 1925 roku w Podmoklach Wielkich jako trzecie dziecko Pawła i Anny Konopnickich. Rodzina Konopnickich przywędrowała tu z Mazowsza i nasze drzewo genealogiczne obejmuje również sławną pisarkę Marię Konopnicką.

Rodzina była, jak na owe czasy dość zamożna. Mieliśmy pola, lasy i łąkę. Moi rodzice bardzo się o nas troszczyli, a ja, jako najmłodsza byłam szczególnie rozpieszczana. Brat Alfons przygotowywał się być do przejęcia po rodzicach gospodarstwa. Młodszy brat, Józef uczył się w szkole handlowej w Świebodzinie. Ja chciałam zostać nauczycielką. Po sześciu latach nauki w szkole polskiej w Podmoklach Wielkich, którą ukończyłam z bardzo dobrymi wynikami, rozpoczęłam edukację w polskim gimnazjum w Tarnowskich Górach. Niestety do drugiej klasy już nie poszłam, bo wybuchła wojna i nie dostałam paszportu.



Rodzina Konopnickich – około 1910 roku. I rząd od lewej: Tomasz, Alfons, Anna (ciocia), Anna (babcia).
II rząd: Wawrzyn, Jadwiga, Paweł, Robert.

11 września 1939 roku po ojca przyszedł niemiecki żandarm. Był bardzo z nami zaprzyjaźniony, często wpadał do taty na karty. Niestety dostał rozkaz doprowadzenia ojca oraz brata Alfonsa do szkoły w Podmoklach Małych. W ramach „akcji specjalnej” aresztowano tych mieszkańców pogranicza, którzy czynnie przeciwstawiali się germanizacji. Oprócz mojego ojca i brata było tam jeszcze kilku podmoklan. Siedziałam w klasie z tatą przez kilka godzin. Tuliłam się do niego płacząc. Ojciec pocieszał mnie, mówiąc: „Nie płacz, ja przecież nic złego nie zrobiłem.” Niemcy byli jednak innego zdania - wywieźli ich do obozu w Oranienburgu. Tata nie wytrzymał ciężkich obozowych warunków i po kilku miesiącach zmarł. Brata na wiosnę zwolniono i wrócił do domu. Wkrótce zostaliśmy razem z mamą wywiezieni na przymusowe roboty do miejscowości Rosengarten w pobliżu Frankfurtu nad Odrą. Pracowaliśmy w majątku ziemskim w polu i przy hodowli zwierząt. Było tam wielu Polaków z Babimojszczyzny. W 1945 roku nadszedł front. Nad Odrą toczyły się ciężkie walki. Niemcy ciągle jeszcze wierzyli w swoje zwycięstwo. Nam kazali pędzić stada bydła pod Berlin. W tej wojennej zawierusze pogubiła się moja rodzina. Gdy nastał koniec wojny razem z grupą Polaków ruszyliśmy pieszo do domu. Po tygodniu wędrówki dotarłam do Podmokli. Wrócili też bracia i mama. W naszym domu gospodarzył Niemiec przesiedlony z Rosji. Jak wielu innych musiał wyjechać.



Paweł Konopnicki



Anna Konopnicka (matka)



**Rodzina Konopnickich
podczas żniw – 1919 r.**

Dopiero po wojnie udało mi się zrealizować marzenie o dalszej nauce. Ukończyłam gimnazjum w Zielonej Górze. Potem wyszłam za mąż i zamieszkałam w Babimoście. Wspomnienia o tragicznym losie mojego ojca towarzyszą mi przez całe życie.



**Właściciele restauracji i hotelu – Wawrzyn i Maria Konopniccy.
Lata trzydzieste XX w.**



**Rodzeństwo Józef, Maria i Alfons Konopniccy
z matką Anną. Rok 1930.**

W wielu rodzinach mieszkających na pograniczu zawierano mieszane polsko-niemieckie związki, bo uczucie nie zna granic. Również mój wuj Wawrzyn w latach dwudziestych ożenił się z Niemką. Razem kupili i prowadzili hotel w Babimoście. Do czasu wojny interes dobrze się rozwijał. Wujostwo mieli dwóch synów, którzy wcieleni do Wehrmachtu, polegli na froncie. Po wojnie wuj został zesłany na Syberię i w drodze zmarł. Wówczas mój brat Józef pomagał ciotce prowadzić hotel. Po latach restaurację odkupiła Gminna Spółdzielnia. Przez długi czas „Babimojszczanka” była bardzo popularnym lokalem w naszym miasteczku. Dopiero po przemianach ustrojowych nie wytrzymała konkurencji, podupadła, a następnie trafiła w prywatne ręce i do dziś czeka na lepszy los.

Mieszkanka Babimostu



Urodziłam się w 1936 roku w domu przy ulicy, która w ciągu mojego życia zmieniała nazwy od przedwojennej Brätzer Straße (ul. Brójecka), powojennej Generała Karola Świerczewskiego, po dzisiejszą ulicę Marszałka Józefa Piłsudskiego. Moi rodzice mieli duże gospodarstwo. Razem z bratem i zmarłą w 1945 roku siostrą pomagaliśmy im od najmłodszych lat. Codziennie przychodziła do nas dalsza ciotka, na którą mówiliśmy Lis Tante. Ta długowieczna kobieta (żyła ponad 90 lat) była dla mnie chodzącą encyklopedią. Znała odpowiedzi na wszystkie moje dziecięce pytania. Często opowiadała mi zapamiętane jeszcze w młodości historie powtarzane przez jej równie wiekową matkę i babcię.

Babcia ta pamiętała podobno przemarsz przez Babimost wojsk napoleońskich idących na Rosję w 1812 r. Oburzyło ją, osobę wychowaną w szacunku dla chleba, że jakiś Francuz rzucił na ziemię kromkę pieczywa. Podeszła do niego i zdzieliła go chochlą. Jakże inne było to wojsko powracające pokonane ze wschodu. Wielu żołnierzy francuskich, rannych na wojnie, pochowano w Babimostcie. Jedna ze zbiorowych mogił znajdowała się na pustym terenie między obecnym domem kultury a szkołą. Do końca wojny stał tam drewniany krzyż.

Ciocia Lis powtarzała też opowieść swojego dziadka. Działo się to w czasach, kiedy w zamku na winnicy mieszkał polski starosta. Pewnego dnia jaśnie pani starościna powróciła dyliżansem z podróży. Zamkowy powóz nie przyjechał po nią na czas. Zdenerwowana zatrzymała tego prostego chłopca, który przechodził obok prowadząc zaprzężony w woły wóz pełen obornika. Kazała się nim odwiedzić do zamku. Dziadek upadł na kolana i błagał ją, żeby nie musiała tego robić, bo go zabija. Na szczęście nadjechał powóz z zamku i wybawił go z opresji. Wiele lat później, w latach



Autorka wspomnień w dniu rozpoczęcia nauki w I klasie – 1942 r. W rękę trzyma tradycyjny prezent tzw. *Wundertüte* – róg obfitości wypełniony słodyczami. Powyżej – dom rodzinny – pocz. XX w.

trzydziestych XX w., brat mojej mamy ożenił się z córką właściciela zamku na winnicy. Mieszkali na ulicy Kargowskiej. Jego teść o nazwisku Witchen produkował wino z porzeczek i wiśni, gdyż położone na wzgórzach winnice po uregulowaniu rzeki wyschły i przestały rodzić plony. Kiedy wujostwo potrzebowali wina, szli do zamkowych piwnic i nabierali trunek wiadrem z ogromnych beczek.



Babcia w dniu ślubu. Rok 1890.



Ciocia Maria Lis - ok.1900 r.

Mój ojciec, jak niemal wszyscy gospodarze i rzemieślnicy, należał do bractwa kurkowego. Była to organizacja prężnie działająca w naszym miasteczku już od ponad trzystu lat. Na tyłach cmentarza katolickiego znajdował się ogród ze strzelnicą. Odbywały się tam zawody strzeleckie, zabawy i festyny. Największe uroczystości miały miejsce corocznie z okazji Zielonych Świątek. Orkiestra Müllera już od rana maszerowała ulicami miasta budząc brać strzelecką. Często miały miejsce parady pięknie ubranych kurków. Najważniejszy był turniej, w którym walczono o prawdziwego, choć zabitego koguta. Był on przymocowany do pala. Zawodnicy musieli, jadąc konno, strącić go piką. Pamiętam, że kiedyś to mój ojciec został królem kurkowym. Schował trofeum i poszedł z mamą na tańce. W tym czasie przyszli jego koledzy i chcieli mu zdobyć wykraść, ugotować i podrzucić same kostki.



**Bractwo przed strzelaniem o tytuł króla kurkowego w ogrodzie strzeleckim – 1931 r.
Wśród strzelców ojciec, dziadek i wuj autorki wspomnień.**

Ja, kilkuletnia dziewczynka, zdradziłam, że kogut jest ukryty w beczce na strychu. Na szczęście ciocia udaremniła ich plany. Oczywiście tata, jako zwycięzca, musiał zaprosić wszystkich kumpli i poczęstować nie tylko kogutem, ale też dobrym trunkiem.

Jednym z najmielszych wspomnień z mojego dzieciństwa były wyjazdy bryczką nad jezioro, do Wojnowa. Piliśmy tam w kawiarni pyszną lemoniadę z wysokich szklanek i obserwowaliśmy spacerującego pawia. Ciągle prosiłam tatę, żeby go zabrał do domu. Lubiliśmy też chodzić na nasze kąpielisko „Łazienki”. Wejście kosztowało 10 fenigów. Były tam kabiny i zjeżdżalnia.

Pamiętam też, że mój ojciec podwoził bryczką albo saniami księdza Meissnera na odpusty. Jeździli też czasami do Polski, m.in. do Siedlca. Babimost w XIX w. był siedzibą licznej gminy żydowskiej. Jednak na początku XX w. babimojscy Żydzi posprzedawali swoje mienie i wyjechali.



Dziewczyny przebrane w symboliczne dzwony. Przedstawienie upamiętniające wywiezienie z kościoła katolickiego w Babimoście dzwonów, które zostały przetopione na pociski armatnie. Początek I Wojny Światowej.

z piękną kaplicą zbudowaną w stylu gotyckim. W dzieciństwie z ciekawością obserwowaliśmy okazały czarny karawan zaprzężony w konie okryte czarnym suknem. Również woźnica miał żałobny płaszcz. Tym karawanem odbywali ostatnią drogę z domu na cmentarz babimojscy ewangelicy.



Odpoczynek podczas prac żniwnych

29.01.1945 r. pojawił się obok naszego domu dziwny żołnierz o mongolskim wyglądzie. Był niski, czarny i miał skośne oczy. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że to jest wróg. Podałam mu jabłko, a on chętnie je wziął. Nie zrobił mi nic, w ogóle dzieciom raczej nie wyrządzali żadnej krzywdy. Wiem, że wielu mieszkańców Babimostu zabili. Na moich oczach zastrzelili fryzjera Klopscha i jego żonę, kiedy szli do zakładu zobaczyć jak przetrwał wejście Armii Czerwonej. Rosjanom nie spodobała

Należały do nich między innymi okazałe, piętrowe kamienice na obecnej ulicy Piłsudskiego oraz synagoga przy Placu Powstańców Wielkopolskich. Na terenie pomiędzy późniejszą jednostką wojskową a stadionem firma Telefunken rozpoczęła budowę zakładów, które, jak mówiono, miały produkować podzespoły do broni V1 i V2. Nadejście frontu przerwało te prace. W miejscu obecnego parku przy ul. Żwirki i Wigury był cmentarz ewangelicki

Potem nadeszła wojna. Najpierw wojsko niemieckie zabrało nam konie, bo każdy gospodarz mógł mieć najwyżej dwa. Rodzice dokupili woła, którego nazywaliśmy Max. Był bardzo silny, ale powolny. Potrzebowaliśmy go szczególnie do nowoczesnej wtedy maszyny – snopowiązałki, którą musiały ciągnąć trzy zwierzęta. Na potrzeby frontu zarekwirowano nam też moje ulubione sanie.

Dzień wkroczenia Rosjan pamiętam bardzo dobrze. Rano

się jego czapka – pilotka, zapewne pomyśleli, że jest wojskowym.

Mój ojciec został skierowany do opieki nad bydłem zwiezionym z okolicznych opuszczonych gospodarstw. Kiedy wracał w nocy z pracy trafił na łapankę. Rosjanie zapytali go: „Polak, czy Niemiec?”. On odpowiedział „Polak katolik” i zaczął gorliwie odmawiać po polsku modlitwę „Ojcze nasz”. Znał ją z czasów dzieciństwa, kiedy był ministrantem u księdza Władysława Schwaba. Msze odprawiano wówczas na zmianę – po polsku i po niemiecku. Żołnierze uznali, że jest Polakiem i puścili go wolno.

Ich komendantura mieściła się w piętrowym budynku na obecnym Placu Powstańców Wielkopolskich. Rosjanie, wchodząc do każdego domu, niszczyli radia. U nas zamieszkało dwóch oficerów – major i porucznik. Mówili dobrze po niemiecku. Jak powiedzieli tacie, uczyli się tego języka w szkole. Kilkakrotnie powtarzali, że teraz idą do Berlina, a jak zabiją Hitlera, to w drodze powrotnej wstąpią po nas i zabiorą do siebie, do Odessy, bo tam jest ładniej. Pamiętam, że Rosjanie łapali po wsiach drób i przynosili do nas. Mama z ciocią musiały go skubać i gotować im z tego posiłki.

W budynku zakładu cholewkarskiego przed wojną była szkoła zawodowa. Dziewczęta uczyły się szycia, gotowania, na podwórzu chłopcy mieli warsztaty. Po przejściu frontu Rosjanie zorganizowali tam obóz aresztowanych w okolicy Niemców. Mama wysyłała mnie do nich z koszem uparowanych ziemniaków, żeby nie głodowali. Wielu rosyjskich żołnierzy, poległych w walkach, pochowano na babimojskim Rynku. Zostali przeniesieni potem na cmentarz do Wolsztyna.

Rosjanie szybko zorganizowali życie garstce pozostałych babimojszczan. Mimo zimy, codziennie rano zawozili ich ciężarówkami do prac przy karczowaniu lasu pod lotnisko, które tu zamierzali wybudować. Po przejściu frontu wielu mieszkańców sąsiednich miejscowości z poznańskiego przyjeżdżało na tzw. „szaber”. Wywozili meble i pozostały dobytek z zamku, hali sportowej i domów mieszkalnych. Po wojnie zamek rozebrano, gdyż rzekomo jego wieża przeszkadzałaby przyszłemu lotnikom. Cegły wywieziono do Warszawy, gdzie z całego kraju zwożono budulec do odbudowy stolicy.

Pamiętam dzień 29.06.1945 r. Wysiedlano na zachód niemal wszystkich mieszkańców Babimostu. Nasza rodzina przyszła na miejsce zbiórki na podwórko obok późniejszego GS-u. Wtedy na motorze przyjechał rosyjski oficer i powiedział do nas, że katolicy mogą zostać. Więc nawet nie zdążyliśmy opuścić miasta.



Nowoczesna snołazka ciągnięta przez konie i woła Maxa

Całe moje życie związane było z ciężką pracą w gospodarstwie, które prowadziłam razem z mężem. Moją pasją były i są zwierzęta. Kiedyś konie, dziś ukochane psy i koty.

Fred Kmiotek – Podmokle Małe

Urodzony w 1930 r.

Dzieciństwo w przedwojennych Podmoklach wspominam bardzo dobrze. Polacy i Niemcy żyli zgodnie obok siebie. Polacy dobrze mówili zarówno po polsku jak po niemiecku. We wsi były trzy szkoły - dwie niemieckie: dla katolików i ewangelików oraz szkoła polska. Uważać trzeba było na „nazi” (czyt. naci) – Niemców, najczęściej ewangelików, członków partii NSDAP, bardzo oddanych Hitlerowi. Mieli prawo do posiadania broni.

We wsi nie było skrajnej biedy. Każdy hodował zwierzęta gospodarskie i miał choćby kawałek ogrodu, z którego plony wystarczały zapobiegliwym gospodyniom na wykarmienie rodzin. Na końcu Podmokli Małych, tam gdzie teraz jest sklep, mieścił się wspólny piec „chlebný”. Korzystali z niego ci, którzy nie mieli własnego. Większość podmoklan miała gospodarstwa dające byt rodzinom. Gorzej było z osobami bezrolnymi. W okolicy nie było zbyt wiele pracy. Niektórzy zatrudniali się u obszarnika ziemskiego von Tiedemanna w Kręcku. Najczęściej mężczyźni wyjeżdżali do fabryk w głębi Niemiec - do cukrowni i cegielni w pobliżu Berlina lub kopalni w Westfalii. Jeździli



Co kilka miesięcy Podmokle odwiedzał tabor Cyganów. Mężczyźni naprawiali kotły, a kobiety żebrały. Poniżej piec „chlebný” na skraju wsi. Rysunki – Fred Kmiotek.



pociągami, zabierając ze sobą prowiant, m.in. grube płaty słoniny i cebulę, żeby zaoszczędzić na drogim jedzeniu.

Uczyłem się w szkole niemieckiej, gdzie nauczyciele byli bardzo srodzy. Po lekcjach musiałem iść na łąkę paść krowy lub gęsi. Tam bawiliśmy się z kolegami i odrabialiśmy zadane

lekcje. Przez całe lato dzieci z Podmokli kąpały się w rzece przy moście. To była dla nas największa frajda. Lubiliśmy też z kolegami wybierać się drogą w kierunku Smardzewa na wzgórze zwane Kopą. Tam znajdowały się ruiny zameczku myśliwskiego o wdzięcznej nazwie „Nixenblick”, czyli



Zameczek myśliwski Nixenblick - rysunek z pocztówki wydanej w 1914 r.

spojrzenie nimfy. Wyprawy na Kopę budziły zawsze dreszcz emocji, bo jak opowiadano, w pobliżu zameczku straszły i wielu ludzi przerażały tu dziwne zjawiska. Konie nie chciały tędy przechodzić, ktoś siedząc na wozie „dostał po pysku”, mimo, że nikogo nie widział. Komuś innemu dosiadł się na wóz niewidzialny „pasażer”. Dziś już nie ma śladu po budynku, bo został rozebrany, a z cegieł wybudowano we wsi okazały dom.

Wierzono w tamtych czasach w różne zabobony. Pamiętam opowieść mojej babci o tym, że jej rodzice nie mogli doczekać się potomka. Każde kolejne niemowlę wkrótce po urodzeniu umierało. Ktoś podpowiadał im żeby jadąc z dzieckiem do chrztu wynieśli je z domu, podając przez okno, a nie przez drzwi i aby nadali mu

rzadkie imię. Tak też zrobili. Babcia wyrosła na zdrową dziewczynę i dożyła sędziwego wieku.

Kiedy skończyłem szkołę podstawową chciałem zostać leśnikiem, jednak specjalna komisja decydowała za nas o wyborze zawodu. Mieli zalecenie władz hitlerowskich, żeby wykształcić fachowców w zawodach przydatnych w budowaniu potęgi niemieckiej. Mnie skierowali na naukę do blacharza Gałęzowskiego w Babimoście. Na szczęście ten Niemiec był „w porządku” - nie był „nazi”. Robiliśmy tam wiadra, parniki i inne wyroby z blachy. W Babimoście zorganizowano obóz dla francuskich jeńców wojennych, którzy pracowali przymusowo w zakładach rzemieślniczych. Dwóch Francuzów przydzielono do mojego majstra. Zaprzyjaźniliśmy się, czasami pomagałem im robić zakupy w sklepach i w gospodzie, bo jeńcom nie wolno było niczego kupować. Poza tym wszystko oprócz soli sprzedawano na kartki. Francuzi kupowali kartki od mieszkańców za pieniądze lub francuską czekoladę. Wysyłali mnie po piwo albo placek drożdżowy. Muszę tu dodać, że w czasie wojny na niektórych sklepach należących do Niemców były tabliczki „Unser Gruß ist „Heil Hitler” („Naszym pozdrowieniem jest „Heil Hitler”). Obóz Francuzów nie był zbyt rygorystyczny. Jeńcy mogli w ciągu dnia swobodnie chodzić po Babimoście, a jego naczelnikiem był francuski oficer. Tylko od czasu do czasu zaglądał tam na kontrolę stary żołnierz.

Już na początku wojny do niemieckiego wojska przymusowo wcielono niemal wszystkich mężczyzn. Pozostali tylko nieletni i starcy. Do pomocy w pracach gospodarskich przysłano ukraińskich cywili. Byli zakwaterowani w opuszczonym domu. Chodziliśmy do nich wieczorami całą grupą chłopaków i dziewcząt, żeby posłuchać ich pięknego śpiewu. Pewnej jesieni przywieźliśmy do nich buraki cukrowe. Wspólnie je oczyściliśmy i drobno posiekane gotowaliśmy w dużym kotle, który kiedyś był obowiązkowym wyposażeniem każdego gospodarstwa. Ukraińcy ucieszyli się, bo myśleli, że to jakiś sposób na produkcję bimbru. Jednak ugotowane wióry przepuściliśmy potem przez prasę a uzyskany sok parobkowie gotowali jeszcze przez tydzień. Wtedy gotowy był przysmak – gęsty, brunatny syrop. Smarowaliśmy nim chleb. Niebo w gębie! Inni jeńcy, rosyjscy żołnierze, mieszkali w baraku na stacji kolejowej. Pracowali na torach, w tartaku i w gospodarstwach. Mieszkańcy Podmokli pomagali im przeżyć ciężką zimę na przełomie lat 1944/1945.

Aż wreszcie nadszedł front. Niemcy pakowali swoje mienie i uciekali wozami lub pociągami na zachód. Krótko przed nadejściem Rosjan wysadzili w powietrze most w Babimoście i wiadukt kolejowy obok Podmokli Wielkich. Woźny na rozkaz swoich przełożonych podpalił ratusz i również uciekł. Pamiętam, że jeszcze w niedzielę wieczorem nieliczni Niemcy szli, brnąc w śniegu, w kierunku Zbąszynka, na pociąg. W poniedziałek rano zobaczyliśmy we wsi pierwszego Rosjanina.

Po wsi szeptano: „Rusoki są we wsi”. Ponieważ Podmokle leżą na uboczu głównych szlaków front minął nas bez jednego strzału. Podeszliśmy z kolegą do rosyjskiego żołnierza i obserwowaliśmy nadlatujący samolot, a on do nas powiedział: „*Nie bojcieś, eto nasz*”. Rosjanie wkraczający do Podmokli w zasadzie byli w porządku, ale niestety kradli rowery. Rzecz, która się dotąd nie zdarzała.

Pewnego dnia przyszedł do wsi rosyjski kapitan i nakazał mężczyznom pracę przy odbudowie wiaduktu. Wspólnie załataliśmy wyrwę po niemieckim ładunku wybuchowym. Potem Rosjanie skierowali nas do rozbiórki torów kolejowych. Zamiast dwóch torów został tylko jeden, a rozebrane szyny pojechały na wschód. Na początku lutego odkomenderowano nas do grzebania poległych żołnierzy niemieckich i rosyjskich. Penetrowaliśmy lasy i pola w rejonie Smardzewa. Zabitych zakopywaliśmy tam gdzie zginęli. W kolejnych dniach wysłali nas do rozbierania fabryki silników lotniczych w Sulechowie. Kiedy maszyny odjechały do ZSRR dostaliśmy kolejny rozkaz. Budowaliśmy frontowe lotnisko polowe w Radoszynie, niedaleko Świebodzina.

Choć minęło już tak wiele lat i odeszło wielu świadków tamtych czasów, w mojej pamięci żyją wydarzenia z najdrobniejszymi szczegółami. Nie zapomnę nigdy budynku apteki na babimojskim rynku zburzonego rosyjskimi pociskami 28.01.1945 r. Pociski te, jak przypuszczaliśmy, skierowane były w kościół, ale chybiły celu. Powracają wspomnienia o dawnych kolegach, o nadgorliwych żandarmach, kontrolujących wszystko w wiosce. Pamiętam nawet sąsiada, Niemca, również partyjnego, którego rodzina spakowała swoje mienie na wóz i szykowała się do ucieczki. On w panice szukał drugiego buta – wysokiej, skórzanej oficerki, bez której nie miał co wybierać się w drogę, bo zima 1945 roku była sroga. Kiedy ją wreszcie znalazł, wszedł na rower i brnąc w śniegu, podążył za rodziną drogą do Smardzewa. Takie to były czasy, kiedy drobne z pozoru szczegóły decydowały o życiu lub śmierci. I tak historia znajdowała swoje odbicie w naszej małej wsi.



Wesele Heleny i Franciszka Jaekel w Podmoklach Małych - 1932 r. W pierwszym rzędzie siedzi ksiądz Karol Meissner. Pierwszy od prawej nauczyciel Stanisław Knak. Po lewej stronie nauczyciele Żórawski i Grot. Małec siedzący po prawej stronie jest autorem tych wspomnień.

Dorota Flieger z domu Nowack

Nowe Kramsko

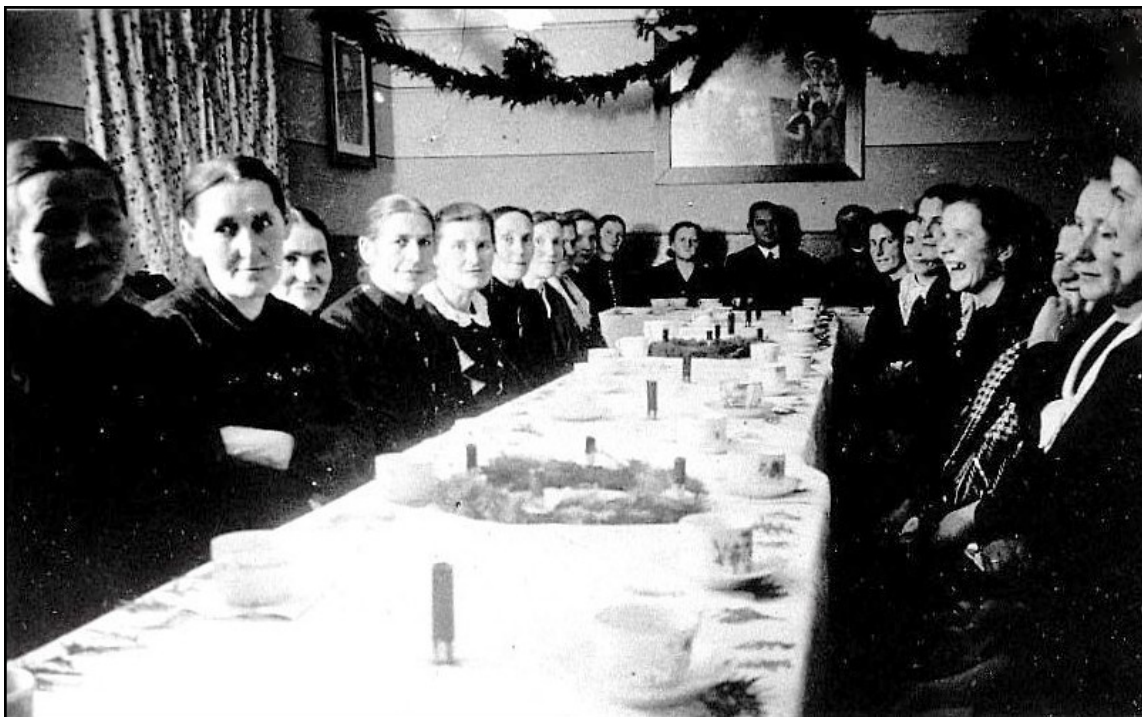


Dorota z siostrą Heleną – 1932 r.

Urodziłam się w 1928 roku jako czwarte dziecko moich rodziców. Niestety, trzech synowie urodzeni przede mną i kolejny, młodszy, nie przeżyli okresu niemowlęcego. Mam jeszcze siostrę, która mieszka do dziś w Świnoujściu. Nowe Kramsko, w latach trzydziestych XX wieku, było wsią zamieszkaną głównie przez Polaków. Niektóre rodziny było narodowościowo wymieszane. Młodzi często wyjeżdżali za pracę w głąb Niemiec i osiadali tam na stałe. Mój ojciec pochodził z Wielkopolski, a mama z Nowego Kramska. W wieku siedmiu lat poszłam do szkoły niemieckiej. Po kilku latach rodzice przenieśli mnie do szkoły polskiej.

W Kramsku, oprócz kościoła katolickiego, był też kościółek ewangelicki, ale ewangelików było u nas niewielu. Budynek ten został w latach siedemdziesiątych XX wieku przebudowany na ośrodek zdrowia.

Z czasów dzieciństwa pamiętam, że ludzie byli ze sobą bardzo życzliwi. Odwiedzali się często, mieli czas na wieczorne rozmowy na ławce przed domem czy grę w karty. Tego mi dzisiaj brakuje.



Spotkanie adwentowe w Nowym Kramsku – ok. 1937 r. Wśród gości, pod ścianą, nauczycielka Maria Zientara.

Mieszkańcy wsi zawsze dbali o czystość swoich obejść. Przed wojną niemiecki żandarm w każdą sobotę sprawdzał, czy ulica przed domami jest pozamiatana. Jeżeli się zdarzyło, że ktoś zapomniał, to przychodził przypominać o tym obowiązku. Nawyk ten pozostał kramszczanom do dziś. We wsi była kiedyś tylko jedna latarnia. W nocy stróż chodził po ulicach i sprawdzał, czy nic się nie pali. O pożar było łatwo, bo wiele stodół było jeszcze krytych strzechą.

Oglądając stare fotografie współczuję kobietom, które już w wieku czterdziestu lat wyglądały jak staruszki. Ubierały się w czarne bluzki i długie spódnice „proły”. Na głowach nosiły chustki. Często pomagałam mamie robić pranie - był na to przeznaczony cały dzień. Wystawiało się dużą wannę i w niej na tarkach tarłyśmy bieliznę. Pościelenie gotowaliśmy w kotle.

Pamiętam też pierwszy przejeżdżający przez wieś samochód. Był to pojazd napędzany silnikiem na gaz drzewny. Ponieważ samochód zepsuł się, pomagaliśmy podróżnym pchać go w kierunku Babimostu. W latach trzydziestych pojawiły się we wsi pierwsze samochody z silnikiem benzynowym.

Po ukończeniu szkoły wszystkie dziewczęta na terenie Rzeszy Niemieckiej musiały odpracować tzw. „Pflichtjahr”. Była to wprowadzona przez hitlerowców przymusowa praca u rodzin niemieckich, z których mężowie walczyli na froncie. Na służbę trafiłam w 1944 roku do Niemki mieszkającej w Sulechowie. Pomagałam jej w opiece nad dziećmi oraz w kuchni. Wkrótce rodzina ta wyprowadziła się do Berlina, na przedmieścia dzielnicy Wedding. Zabrali mnie ze sobą, nie pytając nawet o zgodę moich rodziców. Życie w mieście było bardzo trudne. Przede wszystkim brakowało żywności. Niemal co noc budziła nas syrena alarmowa. W pośpiechu zbiegaliśmy do piwnicy lub bunkra. Każdego ranka, po naloce, rosyjscy jeńcy pilnowani przez żandarma, zbierali z ulic i budynków liczne niewybuchy. Bomby ładowali na wóz i wywozili. Żandarm stał za opancerzoną zasłoną i mierzył do nich z karabinu. Nie mieli więc możliwości ucieczki. Kiedy zbliżała się Armia Czerwona wielu Niemców w panice popełniało samobójstwa. Kobiety bały się gwałtów, mężczyźni odwetu rosyjskich żołnierzy. Strzelali do siebie lub rzucali się do Sprewy, wybierając utonięcie zamiast śmierci z rąk wroga. Długo wracał w mej pamięci obraz licznych ciał niesionych prądem rzeki.

W Berlinie byłam jeszcze przez dwa lata po wojnie. Dokuczał nam głód. Wydzielano kawałek chleba raz na kilka dni. Wielokrotnie wybierałam się na pola pod Berlinem w poszukiwaniu zakopcowanych ziemniaków. W 1947 roku, wbrew woli mojej gospodyni, wróciłam do Nowego Kramsku, gdzie jedzenia było pod dostatkiem. Tu wyszłam za mąż, urodziłam troje dzieci i przez wiele lat pracowałam w porcie lotniczym.



I komunie w Nowym Kramsku – 1935 r. Autorka wspomnień druga od lewej. Wśród dzieci ksiądz Papack.

Gizela Hoffmann z domu Lewandowska

Babimost



Kilkunastoletnia Gizela (pierwsza od lewej)
z koleżankami. Rok 1944.

Urodziłam się w Babimoście w 1931 roku. Moi rodzice mieli gospodarstwo w którym od najmłodszych lat musiałam pomagać. Codziennie po szkole czekała już na mnie robota. Jedynie w niedzielę mogłam wyjść z koleżankami na spacer.

Najstraszniejsze moje wspomnienia pochodzą z okresu, kiedy do Babimostu weszli Rosjanie. Przez kilka dni siedzieliśmy w piwnicy. W tym czasie u góry żołnierze mieszkali i rabowali wszystko co mogło im się przydać. Szczególnie upodabali sobie zegarki. Nosili ich po kilka na każdej ręce. W domu mojego przyszłego męża urządzono izbę chorych. Gospodarstwa po ich przejściu były ogołocone ze zwierząt. Niemal wszyscy mężczyźni zostali zagonieni do kościoła ewangelickiego. Mój przyszły mąż, wówczas czternastoletni, uciekł z kościoła przez okno. Dzięki temu uniknął wywózki Syberię, do Omska. Wielu wywiezionych nie przeżyło drogi. Nasz sąsiad wrócił po dwóch latach z ciężkimi odmrożeniami.

Pewnego dnia Rosjanie ładowali na ciężarówkę kobiety, aby zawieźć je do pracy przy budowie lotniska. Siostra mojej matki bała się wyjść z domu.

Trzymała z całych sił bramę, więc Rosjanin ją zastrzelił bez litości. Zginęło wtedy wiele niewinnych osób. Po wojnie niemal od nowa trzeba było odtwarzać gospodarstwo. Nasza rodzina, jak wielu babimojszczan, przez całe życie ciężko pracowała, aby utrzymać się z rolnictwa.



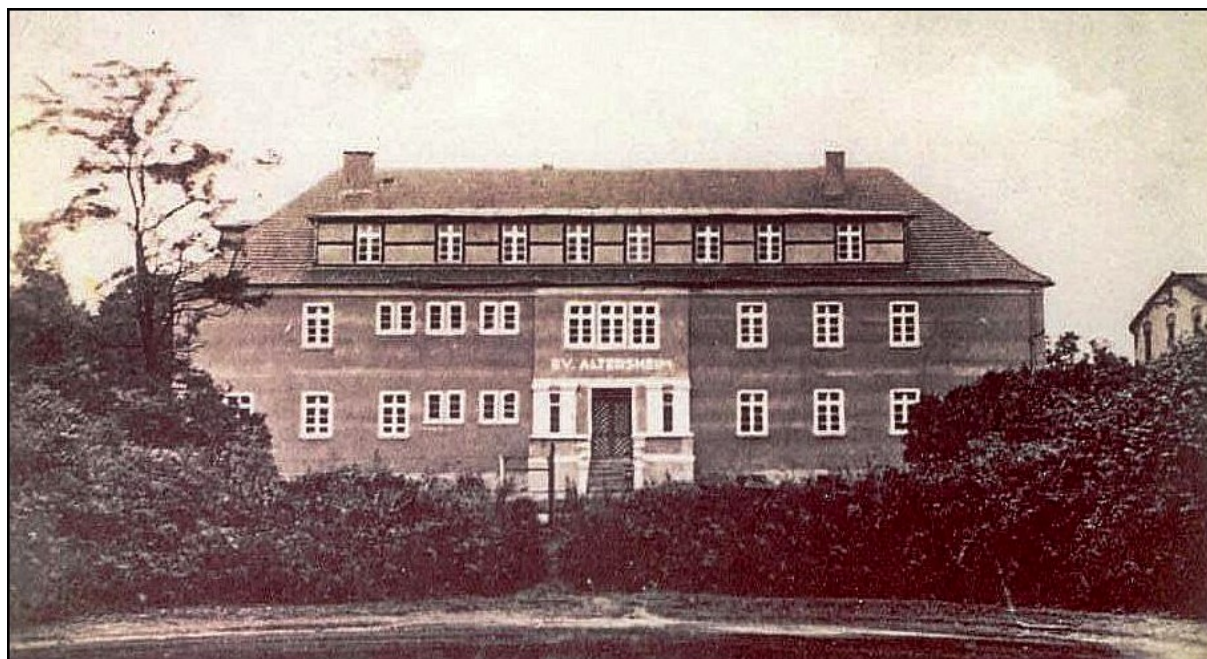
Mąż, Gerhard Hoffmann, z wozem pełnym siana na ulicy Kargowskiej.



Krewne autorki wspomnień przed zamkiem na Winnicy.
Zamek został rozebrany wkrótce po wojnie.



Pocztówka z Babimostu. Sklep kolonialny
Michalskiego i ulica Wolsztyńska.



Dom starców, który do 1945 roku znajdował się w miejscu obecnego internatu MOW

Irena Wencel z domu Kwaśnik

Stare Kramsko

Urodziłam się w 1931 roku. Miałam liczną rodzinę. W domu zbudowanym przez moich dziadków mieszkałam z babcią, dziadkiem, rodzicami oraz trojgiem rodzeństwa. Mieliśmy, jak na owe czasy, duże gospodarstwo – 16 ha ziemi i dwa konie. W Starym Kramsku były tylko cztery tak duże gospodarstwa. Wychowywano nas w duchu polskości. Dwaj bracia mamy – Jan i Teodor Sikucińscy brali udział w Powstaniu Wielkopolskim. Kiedy moja siostra i ja dorosłyśmy do wieku szkolnego rodzice wysłali nas do szkoły polskiej. Szkołka była bardzo mała – w różnych okresach uczęszczało do niej od 33 do 12 uczniów. Do mojej klasy chodziło siedem dziewczynek. Pozostałe dzieci rodzice posyłali do szkoły niemieckiej. Nasza szkoła została zamknięta 1.09.1939 r. Od tego dnia musieliśmy uczęszczać do placówki niemieckiej – ale dzieci polskie miały tam tylko jedną lekcję dziennie.

11 września o szóstej rano do naszego domu przyszli policjanci i nakazali ojcu iść z nimi. Powiedzieli, że będzie zesłany do obozu. Tata razem z kilkoma innymi mężczyznami wsiadł do autobusu, którym wywieziono z Babimojszczyzny do Oranienburga wielu Polaków. Nie zapomnę nigdy widoku mojego czteroletniego brata biegnącego z płaczem za odjeżdżającym autobusem. Warunki obozowe były bardzo ciężkie. Więźniowie, mimo zimna, musieli pracować w cienkich pasiakach podobnych do pizam i w drewniakach na nogach. Ojciec nie wytrzymał ciężkiej pracy na mrozie i w grudniu 1939 r., w wieku 35 lat, zmarł. Mama pojechała odebrać jego prochy. Chciała go zobaczyć jeszcze przed spopieleniem. Nie mogła męża rozpoznać, tak bardzo był wychudzony. Bujne ciemne włosy zgolono. W kącikach oczu przymarzły krople łez. Zauważyła, że pod jego obozową bluzą sterczy coś twardego. Było to nasze zdjęcie zrobione na rodzinnej uroczystości w 1938 r. Ta fotografia towarzyszyła tacie do ostatnich chwil. Został pochowany na cmentarzu w Nowym Kramsku razem z innymi więźniami zamęczonymi w obozie Sachsenhausen-Oranienburg.

Niestety nie była to jedyna cena jaką musieliśmy zapłacić za naszą polskość. W lipcu 1942 r. dostaliśmy nakaz opuszczenia domu i gospodarstwa. Mogliśmy zabrać tylko meble i rzeczy osobiste. Nasz majątek przejął Niemiec z Obry. Pod swój dach przygarnęli nas znajomi. U nich, w jednym pokoju, zastawionym trzema łózkami mieszkaliśmy w sześć osób aż do końca wojny. Nie mieliśmy żadnych środków utrzymania. Mama najmowała się do prania i prac polowych. Dobrzy ludzie dzielili się żywnością. Pomagali nam i Polacy i Niemcy. Do dziś trudno mi uwierzyć, że mama zdołała nas wychować bez ojca, jedynie ze swojej dorywczej, ciężkiej pracy.

W 1945 roku wróciliśmy do naszego domu, gdzie mieszkam z rodziną do dziś.



Autorka wspomnień (pierwsza od prawej) z rodzicami - Jadwigą i Franciszkiem Kwaśnik oraz rodzeństwem przed uroczystością złotych godów dziadków. 1938 r.



Nauka haftowania w szkole polskiej w Starym Kramsku – 1938 r.

Regina z Babimostu

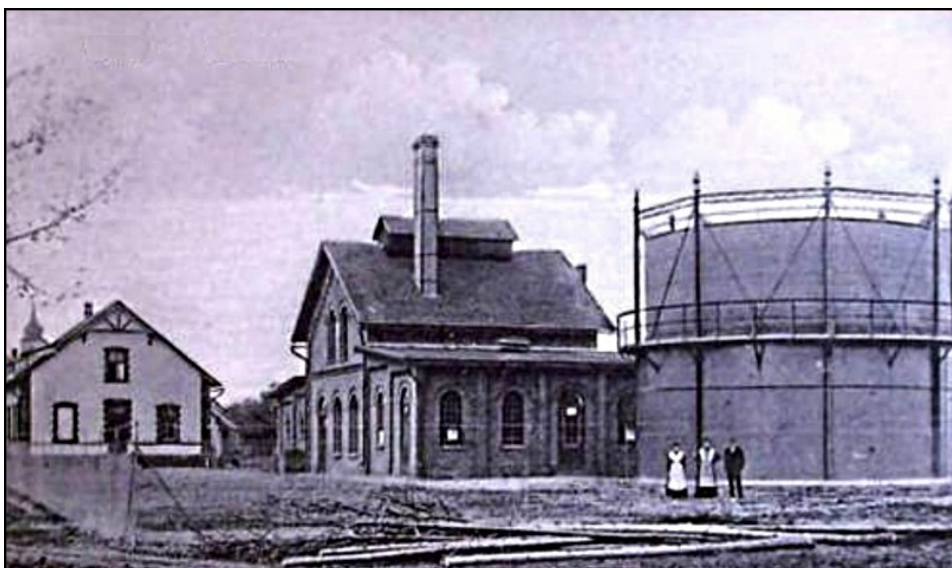


Regina z koszykiem do sypania kwiatków obok kościoła.

Urodziłam się w Babimoście w 1930 r. i przeżyłam tu całe życie. O czasach przedwojennych mówiliśmy zawsze „za Niemca”. A więc „za Niemca” upłynęło moje dzieciństwo. Miałam dwie babcie. Ze strony ojca była to „Oma” (z niem. „babcia”). Mówiła po polsku i niemiecku. Babcia ze strony mamy mówiła tylko po polsku. Nie było problemów z porozumiewaniem się. Mieliśmy w Babimoście dwa przedszkola. Katolickie mieściło się w nieistniejącym już, narożnym budynku na skrzyżowaniu ulic Wolsztyńskiej i Poznańskiej. Ewangelickie znajdowało się obok kościoła na ulicy Kargowskiej. Naszą przedszkolanką była siostra zakonna Salutaris. Również szkoły podstawowe oddzielono. Katolicy uczyli się w budynku obecnej biblioteki oraz w drugim, spalonym później przez Rosjan domu przy ulicy Kargowskiej. Szkoła ewangelicka mieściła w obecnej szkole Młodzieżowego Ośrodka Wychowawczego. Nauczyciele utrzymywali dyscyplinę i za wszelkie wybryki bili uczniów różgą. Dziewczynki za karę musiały cerować nauczycielowi wielkie dziury w skarpetach.



Dzieci z przedszkola katolickiego podczas występu w Leśnikach. Z lewej siostra Roswitha - pielęgniarka.
Z prawej siostra Salutaris – przedszkolanka. Autorka wspomnień – stoi czwarta od lewej.



**Gazownia
w Babimoście**

W budynku znajdowały się też łaźnie miejskie - kilka wykafelkowanych na biało kabin z obszernymi wannami. Na sobotnią kąpiel przychodzili tu całe rodziny, gdyż łazienki w domu były rzadkim luksusem.

Od czasu mojego dzieciństwa w Babimoście wiele się zmieniło. Przed wojną nie mieliśmy w domu prądu. Istniejąca na ulicy Kargowskiej gazownia dostarczała gaz do wszystkich mieszkań, warsztatów rzemieślniczych i ulicznych latarni. Gaz do lamp zawieszonych na środku sufitu doprowadzały metalowe rurki. Aby zapalić światło, odkręcało się kurek i podpalało zapalką, jak w dzisiejszych kuchenkach. Uliczne latarnie zapalał pracownik ratusza.



**Staw zasilany wodą deszczową. W tle rzędy
stodół należących do mieszkańców Babimostu.**

Przy obecnej ulicy Konstytucji 3 Maja znajdował się żydowski cmentarz. Nieopodal był staw do którego spływała woda deszczowa z okolicy. Miejsce to objęto ochroną – nie wolno było tam wchodzić. Obok stawu stało kilka rzędów stodół, po 10 w każdym rzędzie. Jak wspaniale się tam bawiliśmy! Stodoły były gliniane, kryte trzciną. Wydłubowaliśmy w ścianach otwory i chowaliśmy się w środku. Budynki spłonęły w 1945 roku prawdopodobnie podpalone przez Rosjan.

Wiele dzieci po lekcjach zakładało drewniaki i szło paść gęsi. Niestety moje gąski uciekły mi kiedyś nad staw. Zauważył to żandarm i już następnego dnia rodzice musieli zapłacić mandat. Popularnym miejscem wypoczynku były tzw. „łazienki” – kąpielisko nad rzeką urządzone nieopodal ulicy Dworcowej. Wybudowano tam drewniane przebieralnie, a koryto rzeki poszerzono i pogłębiono. Latem nad bezpieczeństwem plażowiczów czuwał ratownik.

Spółeczeństwo dzieliło się na osoby, które coś znaczyły – np. gospodarzy, właścicieli restauracji, lekarzy, czy nauczycieli oraz na tak zwanych „małych ludzi” czyli biedotę. Tylko ci pierwsi mogli dostępować wielu zaszczytów – na przykład nosić chorągwie w czasie procesji. Mogli też całować w pierścionki księdza prałata Karola Meissnera.

Moja rodzina nie była zamożna. Ojciec pracował w lesie – znakował ścięte drewno. Dostawał 25 marek tygodniowo. Z tego nas utrzymywał. Ponieważ odziedziczył dom rodzinny, spłacał też swojego brata. Matka dorabiała latem w restauracji w Leśnikach. Kiedy nadeszła wojna i brakowało

benzyny, ojciec pracował przy produkcji gazu drzewnego, który służył do napędzania samochodów. Pamiętam też, że pod koniec wojny ewakuowano do naszego miasteczka wielu berlińczyków, których domy zostały zbombardowane podczas nalotów.

W obliczu zbliżającego się frontu większość Niemców wyjechała na zachód. Rosjanie wkroczyli 29 stycznia 1945 r. o godzinie 4.15 nad ranem. Babimost był pierwszym niemieckim miastem na tym odcinku frontu, bo przecież od granicy dzieliły nas zaledwie 3 kilometry. O ile



**Ratusz w Babimoście – 1921 r.
Przed ratuszem pomnik poświęcony babimojskim
ofiarom I Wojny Światowej.**



Oma i babcia.

jeszcze na terenie Polski czerwonoarmiści trzymani byli w ryzach, to tu dali ujście żądzy nienawiści i zemsty za krzywdy uczynione przez Niemców na terenie ZSRR. Wypili zapasy spirytusu w gorzelni, która mieściła się na tyłach ulicy Kargowskiej. Nie pogardzili też winem w winnicy. Rozzuchwaleni alkoholem mordowali i gwałcili mieszkańców Babimostu nie rozróżniając Niemców i Polaków. W mieście były już wtedy głównie kobiety z dziećmi oraz starcy – razem około 500 osób. Mężczyźni, o ile przeżyli wojnę, walczyli na froncie.

Przejazd Armii Czerwonej przez nasze miasteczko trwał kilka dni. Z łoskotem przetaczały się czołgi i samochody, maszerowali żołnierze. Siedzieliśmy w piwnicy, czekając, kiedy się to skończy. Dla nas, dzieci, były to niezrozumiałe wydarzenia, które odcisnęły się piętnem na całym naszym życiu.

Po pół roku, 29.06.1945 r. wypędzono babimojską ludność z domów. Musieliśmy je opuścić, żeby zrobić miejsce dla repatriantów ze wschodu. Ponad 400 osób podążyło drogą w kierunku Świebodzina. Ciągnęliśmy ze sobą wózki załadowane dobytkiem, który nam jeszcze pozostał. Byliśmy już przed Smardzewem, kiedy dogoniło nas konno dwóch oficerów rosyjskich i Polak. Jeden z Rosjan zarządził, że ewangelicy kontynuują marsz na zachód, a katolicy mogą wrócić do domu. Moja rodzina była w tej drugiej grupie. Wraz z nami wrócił ksiądz Meissner. Powiedział do nas: *„My nikomu nic złego nie zrobiliśmy. Wy jesteście moimi owieczkami. Idziemy z powrotem.”*

I tak znów znaleźliśmy się w Babimoście, zagubieni w tej wojennej zawierusze. Dla Polaków przez długie lata byliśmy Niemcami. Dla Niemców Polakami.

Ale zawsze babimojszczanami!

Wspomnienia mieszkańców Babimojszczyzny zebrała i opracowała Ewelina Wozińska.